Radosław Misiewicz

Gdyby nie szparagi

Od czego zacząć? Od mojej dziewczyny? I jej talentu do gry na flecie poprzecznym? Od szparagów? A może od końca, od tej jednej łzy, która z mojej dziewczyny uczyniła najsłynniejszą flecistkę na świecie?

Zacznę od początku, może tak będzie najłatwiej.

Był upalny początek czerwca. Moja dziewczyna kończyła właśnie ostatni rok Akademii Muzycznej. Cieszyłem się, że nareszcie po miesiącach nerwów, prób, wymówek, braku czasu, moich długich wieczorów z kolegami i jej jeszcze dłuższych wieczorów z orkiestrą uda nam się spędzić razem chociaż chwilę, na jaką to lato zasługiwało.

Nie widywaliśmy się całymi tygodniami, co przy coraz bardziej skąpych ubiorach na ulicach i rosnącej temperaturze – krwi i powietrza, stawało się kłopotliwe. Jedyną dostępną mi rekompensatą, z którą nie wiązały się żadne konsekwencje, było smaczne jedzenie. Sezonowe produkty wymagają najwięcej poszanowania, ale niosą też najwięcej smaku. I tak, gdy nastał czas świeżych szparagów, zakupiłem kilka, może nawet kilkanaście pęczków. Był to prymitywny sposób nadrabiania wiosny i lata pozbawionych miłości. Przerobiłem szparagi z bekonem, z sosem holenderskim, tartę ze szparagami, szparagi z wody, blanszowane, z piekarnika, z parmezanem, na grzankach, w jajecznicy, pesto, w zupie, w sałatkach.

Na kilka dni przed koncertem dyplomantów w filharmonii jadłem już właściwie tylko łodyżki. Krawędzie pola widzenia przybierały powoli kolor zielony.

Szparag lekarski – jak dowiedziałem się, szukając w sieci kulinarnej inspiracji, zwyczajowo uznawany jest za afrodyzjak. Wydawać by się więc mogło, że w moim wypadku jest szparagiem szatańskim, pogłębiającym brukające duszę popędy ciała. Jednak, zgodnie ze swoją encyklopedyczną nazwą, szparag leczył. Samotność i wynikły z niej głód. Wdzięczny byłem bylinie niezmiernie, choć zdarzało mi się dosalać ją łzami frustracji podczas samotnych posiłków. Nawet dziś łzowy szparag, jak go nazwałem, to specjał, który sporadycznie sobie serwuję.

Ale do rzeczy. Nadszedł dzień koncertu. Znów nażarłem się szparagów. Skwar lał się z nieba. Wykąpałem się, ubrałem w najlepszą koszulę z motywem roślinnym, zakupiłem po drodze do filharmonii kwiaty i tak przygotowany udałem się do świątyni muzyki. Cała ta sytuacja cieszyła mnie niezmiernie. Nie dość, że od dawna antycypowany koncert muzyki poważnej, którą cenię, choć jej nie słucham, to jeszcze zaraz po moja dziewczyna będzie moja. Nareszcie. W tym nastroju zbliżałem się do biletera – uśmiechnięty, podekscytowany, żeby nie powiedzieć: podniecony.

Facet, który sprawdzał mój bilet, najpierw gwałtownie się odsunął, zmierzył oceniająco, a potem zapytał:

– Pan w takim stanie? Na koncert?

Przytaknąłem. Spojrzał na swojego kolegę i okazując niezrozumiałą z dzisiejszej perspektywy łaskę, z wielką rezerwą wpuścił do środka. A może po prostu wiedział, jak cała historia się skończy, chciał zostać bohaterem, chciał mnie poniżyć. Nigdy się nie dowiem, wiem jednak, że to w jego rękach, właśnie wtedy, legło całe moje życie.

Zaskoczony, choć niezniechęcony podszedłem do szatniarki, sympatycznej staruszki, by zostawić mój plecak. Ta, początkowo uśmiechnięta, niby chciała mi wręczyć numerek. Ale pociągnęła nosem, skrzywiła się, obróciła na pięcie i prawie uciekła, mrucząc pod nosem coś o brakach w higienie osobistej.

Przerażony, skrycie powąchałem obie pachy. Zarówno ten dzień, jak i cały czerwiec były wyjątkowo upalne, ale kąpałem się przed wyjściem, poczułem więc jedynie lekki, pobudzający zapach potu, słońca na skórze oraz aromat antyperspirantu. Szybkim krokiem wszedłem do filharmonijnej łazienki, przejrzałem, czujnie wąchając, wszystkie manele – nic śmierdzącego mi się nie zawieruszyło. Wzruszyłem więc ramionami i udałem się na salę, reakcję obsługi kładąc na karb zmęczenia sezonem.

Miejsce miałem, oczywista, w pierwszym rzędzie, by być blisko mojej dziewczyny w najważniejszym dniu jej życia. Siadłem, szczęśliwy wyciągnąłem nogi, podziwiałem naiwne zdobienia sali, by zarządzić jakoś lekkim podenerwowaniem.

Siedzenia wokół długo pozostawały puste. Wreszcie para staruszków usiadła tuż obok. Wyglądali uroczo, przyglądałem im się dyskretnie i marzyłem o latach spędzonych z moją dziewczyną, latach wspólnego pożycia, uczenia się nawzajem swoich ciał i potrzeb, starzenia się i nauki, jak sprawiać sobie przyjemność także poza sypialnią: przyniesieniem herbaty, podaniem gazety, dobrą zupą szparagowo-kartoflaną z omastą z cebuli, nasion słonecznika i białego wina. Chyba nieco za długo zawiesiłem na nich spojrzenie. Dziadek nachylił się ku mnie i szepnął:

– Pan czeka na dziewczynę?

– Można tak powiedzieć – odparłem, tajemniczo uśmiechnięty.

– Ach, miłość! I młodość! Jeszcze latem, czy może być coś lepszego, Maryciu?

Marycia – małżonka staruszka – nie odpowiedziała, szukając chusteczki w torebce. Uśmiechała się jednak cały czas w ten niesamowity sposób, w jaki uśmiechają się starsze kobiety, które znają życie i jego zakamarki. Staruszek wziął głęboki oddech, lekko się skrzywił, po czym, bez nachylania ku mnie – znaki! wszędzie były! – konfidencjonalnie szepnął:

– A pan nie czuje?

– Czego?

– Tych szparagów od pana. Przetrawionych. To znaczy wie pan. Tego smrodku po. Moja żona nie czuje, geny. – Znów ten sam uśmiech Maryci. – A ja, wie pan, nawet lubię. – Chciał mówić dalej, ale zabrzmiał trzeci dzwonek.

Sparaliżowało mnie. Gdybym mógł, zablokowałbym wszystkie pory mojego udręczonego ciała. A przecież wiedziałem! Cierpię na wyjątkową delikatność: odrobina alkoholu mnie upija, szczypta obelgi mnie rani, kropla kawy pobudza, a jedzone miesiącami

szparagi nie tylko zmieniają zapach mojego moczu, lecz, okazuje się, oczywiście za późno, także potu. Pomyślałem o porannej bombie szparagowej, którą zjadłem, o tej spowodowanej nerwami rozpuście, jakiej się oddałem, gdy jadłem szparagi w sosie szparagowym i popijałem koktajl ze szparagów z odrobiną mięty i szpinaku. Nadchodziła więc kolejna fala przeklętego zapachu – ten obecnie wyczuwalny był ledwie echem z wczoraj.

Reakcje szatniarki i biletera nabrały sensu. Nie mogłem jednak wyjść – nie dość, że było na to za późno, to moja dziewczyna nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Zapach zdawał się wzmagać zgodnie z dramaturgią koncertu. Początkowo, gdy zbierała się orkiestra, gdy wszyscy się stroili, smrodek jedynie unosił się w powietrzu. Razem z pierwszymi dźwiękami, zawisły między nami pierwsze nuty odoru. Muzycy nie mieli gdzie i jak uciekać. Podobnie widownia. Tkwiliśmy więc w aurze szparagów, zupełnie bezsilni.

Podczas preludium, w którym moja dziewczyna nie brała udziału, uderzenie olfaktoryczne było powalające. Nawet najtwardsze z kontrabasów, nawet oddalone od widzów puzony, wszyscy przesuwali krzesła, kręcili nosami, nie mogąc ich zatkać, bledli. Wydawało się, że jedna z altówek obsuwa się na krześle, zemdlona.

I wtedy, gdy staruszek nachylał się ku mnie z naganą, weszła ona.

W trakcie oklasków, które otrzymała, gdy tylko pojawiła się na scenie – piękna, drobna, w powłóczystej czarnej sukni, z włosami spiętymi w wysoki kok podkreślający kształt jej oczu, z tym swoim śmiesznym noskiem, z długim, srebrnym fletem w dłoniach – w trakcie tych oklasków część szubrawczej widowni opuściła salę. Mój smród ich wyganiał, dwa rzędy za mną i starszą parą nie było już nikogo.

Dostrzegła to w krótkiej chwili. Profesjonalizm wziął jednak górę. Uśmiechnęła się do dyrygenta, puściła do mnie oko (spojrzenie miała poważne), po czym przystąpiła do grania. Nabrała haust powietrza – i nic, jakby mój szparagowy fetor nie przeszkadzał, nie drażnił. Palce swobodnie przebiegły przez instrument, a dmuchała z większą werwą niż zazwyczaj.

Jej drobny nos kreślił w powietrzu niesamowite kształty, gdy lekko kołysała się w rytm wykonywanego utworu. A ja nie mogłem, mimo tragizmu sytuacji, przestać myśleć dwóch myśli naraz: nie ma nic bardziej ekscytującego niż ten perkaty nos, kreślący kształty na mojej szyi. I nie ma silniejszego nosa niż jej nos, który mimo zabójczego szparagowego zapachu pozwala grać najlepszy koncert w życiu.

Przy wyjątkowo skomplikowanej solówce, gdy orkiestra odpoczywała, pierwsze skrzypce posłały mi zza okularów połówek mordercze spojrzenie, jakby mógł wiedzieć, muzyk jeden, że to właśnie ja tak śmierdzę. Odpowiedziałem tym samym, dołączając podkreślający zwątpienie ruch brwi, który miał mówić: może to dziadek z babcią, a ja dzielnie wspieram w smrodzie moją dziewczynę, co, panie skrzypek?

Przez moment flet i altówka objęły się w finalnym uścisku harmonii, splecione jak nasze lekko spocone palce. Po zakończeniu tej części altówka prawie spadła z krzesła, smyczek wypadł jej z ręki – lecz wiedziałem, że to nie zmęczenie. Przez chwilę wydawało się, że dyrygent chce coś powiedzieć, ale moja dziewczyna, ocierając karminowe usta po finałowych nutach, rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i lekko pokręciła głową.

Chciałbym móc powiedzieć, kto jest autorem, opisać konstrukcję harmonii, zupełnie się na tym jednak nie znam. Niech wystarczy wam porównanie: ten koncert był jak tiramisu z matchą jedzone w publicznej toalecie. Puszyste, lekkie, szczypiące w język, niespodziewane połączenie smaków. Jedyny żal: śmierdziało.

Zaczęła się część druga – finałowa, w trakcie której, jak dobrze wiedziałem z opisów mojej dziewczyny, gdy zmęczona przychodziła po próbach do domu – miały się dziać cuda. Cud pierwszy – pierwsze (*nomen omen*) skrzypce porzuciły swój instrument, podeszły do niej i zaczęły grać wspólnie na jej flecie. Palce skrzypka zgrabnie przebiegały po srebrnej rurce, podczas gdy ona dmuchała w nią, nabierając coraz większych haustów powietrza. Z każdym kolejnym oddechem lekko siniała na twarzy. Wmawiałem sobie, że to wysiłek, zmęczenie, nieprzespane noce, które wkrótce zrekompensujemy sobie na wakacjach. Widziałem jednak cierpienie odbijające się w powierzchni jej oczu, a i ja cierpiałem, widząc poły fraka pierwszych skrzypiec, plączące się z połami jej sukni.

Drugim cudem (lub przekleństwem) okazał się siedzący obok mnie staruszek. Od dłuższej chwili wiercący, kręcący, irytujący się. Teraz nagle podnoszący się, unoszący się, podnoszący palec, wskazujący tym palcem na mnie, zatykający przy tym nos. Dziadek zdrajca. Przyznaję, zbyt byłem skupiony na trelach mojej dziewczyny indukowanych palcami pierwszych skrzypiec, bądź co bądź, innego mężczyzny, by na niego zwracać uwagę.

Obsługa sali czekała na ten sygnał. Ruszyli ku mnie z dwóch stron – staruszka szatniarka i bileter, ten, który wpuścił mnie do filharmonii.

Skradali się cicho, by nie przerywać koncertu. Dziadek, podskakując jak małpa na krześle, pokazywał wciąż na mnie, tak jakbym mógł uciec spod jego palca. Jakbym mógł w tej sytuacji zniknąć.

Trwałem na swoim siedzeniu, wsłuchany w muzykę. Wpatrzony w nią, której fletu nie mogłem dotykać zbyt często, ze względu na moją wrodzoną niezdarność poza kuchnią. Pierwsze skrzypce niezdarne nie były. Wręcz przeciwnie.

Karzący palec dziadka wskazywał na mnie, a orkiestra zaczęła maleć – na podłogę osunęła się kolejna z altówek, puzony ciurkiem opuszczały scenę. Kontrabasy po prostu przestały grać, podwinęły rękawy na mocarnych ramionach i patrzyły na mnie groźnie. Pierwsze skrzypce chciały, zdawało się, przerwać koncert, ale się przeliczyły. Staruszka szatniarka była o krok ode mnie. Udawała, że słucha, ale przesuwała się w moją stronę centymetr za centymetrem, bokiem. Bileter odciął mi drogę ucieczki.

Pierwsze skrzypce nagle puściły flet, wysuwając w moja stronę rozcapierzone palce i same upadając na podłogę. Lecz moja dziewczyna, nie zważając na tego amatora osuwającego się po fałdach jej sukni, złapała instrument w locie, na co resztka widowni zerwała się w owacji. A ona wciąż grała, nie zakłócając zasad harmonii.

Finałowe crescendo wybrzmiewało dosadnie, choć już tylko jej trel brzmiał w sali. Patrzyłem na nią zafascynowany, zakochany jak nigdy przedtem. I gdy nasze spojrzenia – jej skupione, przekrwione zza zasłony smrodu szparagów, moje zakochane, wpatrzone – spotkały się, jedna łza uciekła jej z oka, potoczyła się po gładkich, rumianych

policzkach i gdy staruszka łapała mnie pod łokieć, by wyprowadzić z sali, oniemiałego, rażonego piorunem ostatecznego piękna, ta łza właśnie zagrała na jej flecie, tocząc się po otworach na palce, zharmonizowała się z całym utworem, z cierpieniem mojej dziewczyny i ucieczką orkiestry. Brała ostatni oddech, gdy bileter z marsem na twarzy wypychał mnie za drzwi.

On i staruszka trzymali mnie mocno pod ramiona, a za nami, podskakując, kroczył dziadek – zdrajca, krzyczący: „Szparagi, szparagi! Żarł szparagi".

Wyrzucili mnie z przybytku sztuki. Delikatnie, stanowczo. Polecono mi się umyć, gdybym chciał wrócić.

Lecz ja byłem czysty. Czysty jak łza. Czysty, lecz śmierdzący. Przypadkowo. Przypadek sprawił, że tyle żarłem szparagów, i ten sam przypadek sprawił, że ta jedna łza, która się jej wymknęła, gdy wyrzucano mnie z filharmonii, jak z jej życia, zagrała na flecie. Piękno i pragnienie mają często źródło w przypadku.

Gdy lądowałem na bruku, dotarł do mnie grzmot oklasków. Aplauz trząsł podwalinami budynku. Wyobrażałem sobie, smętnie stojąc w samotności, jak ona cuci pierwsze skrzypce i razem zbierają burzę braw.

Moja była dziewczyna robi teraz międzynarodową karierę. Jest znana jako „flecistka łez". Ze względu na tę właśnie jedną harmoniczną łzę, uronioną na koncercie dyplomowym. Łzę, która grała.

Czasem, gdy przyrządzam w samotności szparagi, w pustym mieszkaniu, które dla nas przygotowywałem, myślę o zmianie diety. Słucham płyt, które nagrała, patrzę na jej smutne spojrzenie z plakatów trasy koncertowej po Australii i Oceanii. A potem pakuję kolejną łodyżkę do ust. Stawia przyjemny opór.

Rysunek – Marek Chaczyk